JASIEŃSKI
STERN
BRUCZ
GACKI
W A T
BRAUN

24 F

F ALMANACH NOWEJ SZTUKI

POD REDAKCJĄ

24 STEFANA KORDJANA GACKIEGO

D A Ł

UKŁAD GRAFICZNY MIECZYSŁAWA SZCZUKI.

Skład Główny: „OGNIWO" Sienkiewicza 6.

Adres Redakcji: ST. GACKI Marszałkowska 60.

FRONT NOWEJ SZTUKI.

Jest nas w Polsce — pracowników Nowej Sztuki — zaledwie garstka. Rozbici, walczący w pojedynkę ze słabością zorganizowaną, zmagaliśmy się jeszcze o czystszą, wyższą formę Nowej Sztuki. Kiedyśmy się znów zeszli, aby front odbudować niepotrzebne nam są wszelkie deklaracje programowe: Nowa Sztuka jest sztuką żywą. O drodze, którąśmy przebyli mówimy bezpośrednio pracą twórczą. Ta, co nas oczekuje, jest drogą do zdobycia.

Przyjaciołom naszym w kraju i zagranicą: Tytusowi Czyżewskiemu, Stanisławowi Młodożeńcowi, Tadeuszowi Peiprowi, Leonowi Chwistkowi przesyłamy braterskie pozdrowienia.

Front Nowej Sztuki został odbudowany. Nikt go już z nas nie opuści.

REDAKCJA.

Warszawa 16 lutego 1924 r.

DO FUTURYSTÓW
BRUNONA JASIEŃSKIEGO

Już nas znudzili Platon i Plotyn
i Charlie Chaplin i czary czapel, —
rytmicznym szczękiem wszystkich gilotyn
piszę ten apel.

Dziwy po mieście skaczą już pierwsze,
z za kraty parków rzeźby wyłażą,
kobiety w łóżkach skandują wiersze
i chodzą z niebieską twarzą.
Po cztery głowy ma każdy z nas.
Przestrach nad miastem zawisnął niemy.
Poezja
z rur się wydziela,
jak gaz.
Wszyscy zginiemy.
Dzień się nad nami zatrzymał złoty
i pola nasze pobił grad,
jakby wytoczyła przeciw nam kulomioty
Niebieska Republika Rad.
Krzyczały w gazetach telefony i Paty,
że w zimie nie starczy nam chleba, —
Nikt z nas nie dożyje do zimy.
Przyszedł czas ostatniej krucjaty.
Tłumie,
coś mnie okrążył i chciał bić laskami,
czemuż stoimy.
Niech poeci idą do nieba.
Jestem z wami.

Nie będzie więcej żaden,
któremu do ust swój dzban dasz,
pieścić nam oczu jadem
gęstym, jak bandaż.

Przyjacielu Anatolu,
połóż, połóż tu' się
i gdy ci spadnie na czaszkę mój młotek

i szczury na nią wgramolą,
nie krzycz z teatralnym gestem:
„I ty, Brutusie".
To ja jestem.
I wyciągnę ci z głowy,
jak magik,
domy,
okręty,
księżyce
i dragi,
kobietę z dzieckiem,
flagi wszystkich nacji,
bezcenne słowa po dolarze karat.
Dzisiaj sprzedaję hurtem
z licytacji
cały aparat.
Próżno się wdzięczy chmurek rokoko,
na plafon nieba rzucone bazie.
Nikogo więcej księżyc-gonokok
tęsknotą nocy nie zarazi.
Znów będzie wiosna raz tylko na rok
i jedno słońce w niebo się wkrości.
Jak tynk
obleci ze świata
barok
poetyczności.
Nie będzie kobiet brzuch,
jak dynamo
miljonem wolt im w głębinie wrząca,
będą poprostu drżały,
gdy nam
o
ciała ich miękkie
pluśnie żądza.
Znów będzie ogród,
jak ogród
i róż chwiejące się metry,
Świat rozprostuje się nagle napowrót
w nowej, słonecznej geometrji.
Znikną,
jak wrzody,
które ktoś przegniótł.

sznury tych,
miejsca nie było przed kim, —
z wiaderkiem w ręku
każdy przedmiot
pooklejali w etykietki.

O zamknij oczu swoich semafor.
Snów yokohamy kąpią się w kwiatach.
Idziemy
wydrzeć z ławy metafor
twarz
rysującą się
Świata.



KARNAWAŁY

ANATOLA STERNA

Panie prokuratorze z Paryża z Wilna z Tuły
więc doprawdy więc rzeczywiście! tu sądzą?!
ach panie prokuratorze na tej parzącej kuli
czy można być czem innem jeśli nie obrońcą!

człowiek przerżnięty na dwoje przez błyszczący przedział
przy drzwiach zamkniętych machał rękoma i plótł
gdy krzyknąłem ach przestań przestań czyś nie wiedział
toż tej sali za chwilę nie przejdzie wpław ani wbród!

nieuważny człowieku czemużeś się nie schował
toż w tej sali rozkoszy odkręciły się krany!
twoja głowa to przecież cudowność nie głowa!!
jaki potok z niej wytryska! pstrych słów słup niewidziany!

ach zakręć zakręć prędzej! przestań wołać że ciebie
uderzyłem nożem i że cię chciałem ograbić! o panie
jakże mnie dosięgniesz gdy tkwią nad tobą w niebie —
z góry krzyczę do ciebie przez gwiazd zawroty i łkanie!!

oskarżaj mnie jeśli w tym nie utoniesz hałasie
wszyscyśmy tu na sali na szczęście zbrodniarze
mordercy sensu zgruchotanych snów pajęczarze
którzy z życia jak ze strychu plądrują co da się

przyjacielu to wszystko się odbywa jak we śnie!
spójrz tylko jak skazaniec z rozkoszy się trzęsę —
ach poco się wysilasz — oddaję ci się! weź mnie!
oddaję ci się całym sobą! swojem żywem mięsem!!

bracie prokuratorze tu nie poradzisz ty nawet!
nie zranisz mnie swojemi ostremi słowami!
ja też krzyczeć potrafię i swe uszy wet za wet
papuzim wrzaskiem oplotę! krzykami — kwiatami!!

2.

Długo chodziłem ulicami skwerami
optrącałemi i mówiłem z uśmiechem przepraszam

chodziłem nogami i słuchałem uszami
i patrzałem oczami spokojny jak pasza

długo spokojnie spoglądałem słuchałem
aż nagle jak z bicza wystrzeliły me nerwy!
i przypłynął do głowy i uderzył mnie szałem
płomienny napis
ryż herbata konserwy

no tak! no tak! ludzie bracia najdrożsi!
toż zapomniane szyldów święta karnawały; trzepot!
świat który warjuje dokoła swej osi!
taniec trzymających się za ręce stron świata i epok!!

ach ta kula ziemi z nóg jak kręgiel mnie zbija
toczy się na mnie z hałasem i pcha mnie!
bez przerwy i ogromnie wciąż rosnę i tyję
i z jękiem w ziemi ostrej rozpieram swe ramię!

ileż jeszcze jarkich szyldów z silnych nóg mnie zetnie!
stoję wymalowany i wyniosły jak kręgiel
dopóki jakaś kula nie uderzy mnie świetnie
jakaś biała pierś jak cukier, jakiś bóg huk lub węgiel!!

ach wszędzie wszędzie są te kule mordercze jak pocisk
w każdym dźwięku wygranym z nie wiem jakich już nut —
jestem cały, ogromny rozkrzyczany odcisk,
w który się werżnął rozkoszy rozżarzony but!

3.

Nie mogę zapomnieć i ciągle to wraca
gdym stał dzieckiem w sądowej wybielonej sali
gdzie człowiek ze wstęgą na piersi coś mazał
a ludzie odarci ze skóry i krwawi płakali

wtedy już zrozumiałem i we snach pamiętam
śniłem o zielonym strzępie włożonym zukosa
który jest bardziej nawet niżli kościół święty,
i który nosił człowiek o przystrzyżonych włosach

po latach rzekłem z drżeniem w głosie i z lękiem
rzekłem z drżeniem w głosie i ściskając ręce:

matko! kup mi zieloną sukienkę
matko! ja też chcę chodzić w zielonej sukience

czyż mogę dłużej tak błądzić po mieście?
wiesz to w kurytarzu skwarnego dnia się stało
ach nie całuj mnie mamo i ty droga nie pieść mnie
w szatni zamiast palta zrzuciłem z siebie ciało!!

zdarłem z siebie ciało własne i czerwony cały
czapkę włosów wydarłem z głowy jak indjanin!
a ludzie we wstąg sukienkach wbijali we mnie gały
szepcąc jaki zręczny a jaki strój barwny na nim!

panie! panowie! ja nie jestem zręczny wcale
ja nie myślałem że to wszystko odbywa się żartem!!
łysy krwawy dymiący tańczę na karnawale
na który wy nie płacąc wdarliście się gwałtem!

każdy z was zachował sobie łachman wstęgi
jaskrawy tren wlecze za sobą wesoły
ale widzę ze zgrzytem zamykają się szczęki
LĘKU który was chwyta za zielone poły

o sędziowie opuśćcie swą wygodną lożę!
prokuratorze gdym cię ujrzał na spacerze z twą żoną
z uśmiechem i z pośpiechem uderzyłem cię nożem
i zdarłem z ciebie twą suknię, twą wstęgę zieloną

bo powiedzcie, powiedzcie czy ta ziemia cała
nie nam wszystkim oddała swój czarny bochenek!
ach kiedyż tylko w czerwonym blasku ciała
zatańczymy z sobą wreszcie bez wszelkich sukienek!!

o karnawale równości! o wolności łuku!!
dżdżem krzyków go obrzućmy — tych radosnych kul
kiedy skomląc po głów naszych będzie zmykał bruku
lęk o swoje — najstarszy wieczny ludzki ból!

S Ł O W O

STANISŁAWA BRUCZA

Budujemy mosty
Dla pana starosty.

Dzieci w zielonym porcie ______________
Głosem strzelają w lazur ______________
Słowa śmigłe jak lasso ______________
Chwytają kolorów połcie. ______________

Dokąd pędzi ta zieleń __________
Zbiegła z chóru plakatów __________
Ttrąbi w puzon szkarłatu __________
Dzień – bystronogi jeleń. __________

Kół skowyt. Warkot śmigi. __________
Hałas jest. Wrzask wyrostków. __________
Ludzie mówią na migi __________
Kajdan zgiełku im głos skuł. __________

Stanąć pośród chodników, ______________
Ogłuszyć ulicę słowem, ______________
Wokół skaczące byki ______________
Chwytać za grzywy płowe ______________

Jak oszalały pastuch ______________
Dzikie rozpędzić trzody ______________
Potem podpalić miasto ______________
Płonącą żagwią ody. ______________

II.

Pamiętam wiejską sjestę __________
Żwir skrzypiący na ścieżkach __________
Mówiłem kochance — jesteś __________
Miastem w którem ja mieszkam. __________

W mieście kobiet pejzaże __________
Wieją poszumem wiosen __________
O jakże chciałbym je zważyć __________
Wiatru huczącym głosem. __________

Dzieci w miejskim ogródku ______________
Krzyczą olbrzymie wiersze ______________
Bóle nasze i smutki ______________
Piszczą jak polne świerszcze ______________

Tak — nie mogę podołać
Dźwięków tańczącym deszczom
Usta moje nie zmieszczą
Zawrotu prostych wołań.

Głos co za tonem śle ton
Goni za nowym żerem
Jestem nie tylko poetą
Jestem inżynierem

I buduję mosty
Słów i dźwięków prostych.

JESIEŃ PRZYJAZNI

STANISŁAWA BRUCZA

Chłodne i niebieskie jak woda źródlana są oczy
Wpatrzone w ptaków jesiennych na południe lecący trójkąt
Tyś lotnik — rękoma wiatrów zaplatasz obłoków warkocze
A ja przyparty do muru zgiełkliwą uliczną bójką
Widzę wspinajacy się po tobie jak powój
Żółty odblask sąsiedniej wystawy sklepowej.

Niema jesiennych liści. Są liście zwiędnięte twarzy,
Gnane w podskokach wiatrem dzwonem przetykanych tumultów
Szeptem warg szeleszczące o kursach, dolarach, towarze.
Te modlitwy codzienne nam obcych jak ty mówisz kultów
Włosy twoje siwieją tak jak śniegiem siwieją deszcze
Jesieni w cynk i ołów chmurnego nieba zakutej
Stygnę cały i zimne przechodzą mnie dreszcze
Kiedy mówisz poprostu — tam gdzieindziej i tutaj
Tam mustang spocony pod tobą radością parskał
Gdyś pędził wpoprzek prerji bez siodła naoklep
Tutaj deszcz lakieruje budę dorożkarską
I wchodząc do kawiarni chustką przecierasz binokle.

SZTUKA LUDZKA

Mówiliśmy jak oratorowie, mówiliśmy jak matematycy, mówiliśmy jak logiści, literaci i futuryści.

Dość!

Niczego nie udawadniać — wszystko ożywiać.

Niczego nie zamierzać — wszystko urzeczywistniać.

Jeszcze potrzebna jest jedna metafora jak szyld nad bramą kolorowy, metafora odstręczająca przygodnych gości. Oto jest:

Wchodzimy do jatki poetów!

KARTKA z KALENDARZA.

Rok 1919. Futuryzm polski. Pokojowe coup d'etat. Kilka oszałamiających wystrzałów, kilka czerwonych płacht (to dla starszych panów) kilka uderzeń mocnych, niecelnych.

Atakowani nie przyjęli pojedynku, szturmujący przestali być bohaterami.

Pozostało z tej krótkiej epopei futuryzmu parę pięknych rewelacji poetyckich, których wartość kiedyś będzia oceniona. Miał niewątpliwie jedną wadę: działał wśród społeczeństwa naoślep, a jednocześnie swój rozrost nazewnątrz uważał za sprawę pierwszorzędnej wagi.

Koniec. Ruszyły motocykle.

MOTOCYKLE NAS NIE BAWIĄ.

Kto buduje rusztowania, mosty i podniebne oazy Nowej Sztuki? My sami. Na jakiej ziemi stawiamy gmachy? Na nas samych. Przypomnę słowa Bakunina: „Namiętność burzenia jest także namiętnością tworzenia". Mówię więc poprostu: Nowa Sztuka została wulgarnie zdogmatyzowana.

Co myślimy o Nowej Sztuce? Że jest sztuką formalną. I jaką sztuką formalną? Mówią niektórzy: konstrukcyjną. A prawo konstrukcji artystycznej znamy? — Nie.

Znam jeszcze jedną odpowiedź, może wy znacie ich 999, znamy ich razem 1000. A jednak wbrew 1000 mówię: bawimy się liczmanami, ordynarną, międzynarodową gwarą Nowej Sztuki.

Komuś wystarczy jedna z tysiąca odpowiedzi. Będzie wywikływał z niej drugi tysiąc wniosków, tez, skutków, konsekwencji. Uwierzył w logiczną wydajność pojęć. Wydajność jest nieskończona. Pyta Euklides: a z czego powstał chaos?

Maszyna — ręka. Maszyna człowiek i nadczłowiek. Mechanizacja życia. Ekwiwaletny rzeczy. 100 izmów.

To są motocykle. Zsiadajmy. Doskonale nakręcone popędzą same bez jeźdźców. Ale nie wbrew nim.

JA, TY, ON, ONA. ONO...

Wyczerpująca się sama przez się frazeologja rewolucyjna i widmo sztuki formalnej poza reflektorem społecznym — tu jest fabryka motocyklów. Można dojść do precyzji: 15.000 na godzinę, 20.000, 25.000...

Aż krzyknie pierwszy — ten jest dzisiaj futurystą—brak mi tchu!

Rewolucja — postęp — może jeszcze od Adama i Ewy? Myśl skręca się w sobie i ukazuje swoje podwójne oblicze. Oblicze tego, który sprzeczności tworzy.

Najprostsze i najważniejsze: człowiek.

To jest punkt wyjścia i punkt zwrotny.

Ekspresjoniści z Niemiec! proletkultcy z Rosji! czyż zapomnieliście, że sztuka nasza, wasza, wszelka opiera się i tworzy jedynie konkretną rzeczywistość, świat nowych lub starych wyobrażeń. Twórzcie tę rzeczywistość. rewolucyjne hasła i odezwy pozostawcie ulicznym trybunom. Dla sztuki istnieje tylko konkretne dziś i zdobywane konkretne jutro. Reszta jest indywidualnym świergotem.

Reszta to: ja, ty, on, ona, ono... Frazeologja!

STRONA ODWROTNA.

Likwidatorzy futuryzmu znają tylko jedną stronę. Fałszywe gesty, te które popełniono. A gdyby im odkryć (to byłoby dla nich odkryciem) stronę odwrotną. To co było przed futuryzmem. To, o czem się zapomina: rycerzy pięknej przygody; Don Juanów niespodzianki. Życie gwałtem podmalowujące sobie kolory. Słowem, ci przez których brukowy chaos przypadkowości śpiewa, ryczy, zgrzyta, furczy, ci którzy nie czuli własnej bryły ciała. Zrozumcież, panowie likwidatorzy, tą drogą iść nie można było. Poszli dalej i nikt już z powrotem wrócić nie może. To jest pewne: sztuka zamieszkała w piersi ludzkiej. Artysta stworzy świat nowy, albo runie wraz z nim.

F 1924.

Do lamusa historji przybędzie kilkadziesiąt połamanych motocykli— różnej marki i jeden izm z którego pozostanie prosty, graficzny znak F. Skrót monumentalnie wyrażający marsz w przyszłość.

F. 1924: wyskakujemy z ławy dogmatów, kształtujemy bezpośrednie widzenie rzeczywistości na gruncie której można swobodnie budować wgłąb. To już wystarczy praktyce artystycznej!

Aby widzenie nie rozpłynęło się w sentymentalnym lenistwie—aby dostrzedz i cel — abyśmy czuli na rękach ciężki spadek przeszłości.

Podejmuję rekonstrukcję tych odłamków myśli. które znalazły w nas swoich spadkobiereów i architektów. Wiem, że tak przygotowują się wszystkie dogmaty. No, tak, no tak! „Czerwoni są to ci, którzy będą niebieskiemi, a niebiescy ci którzy byli czerwonemi".

Zbliża się nowy porządek społeczny. Ci którzy go budują mogą wnieść żelazne okowy dla sztuki, mogą ją zwulgaryzować. zniżyć. Trzeba więc koniecznie, aby Nowa Sztuka powiedziała swoje słowo o —

Przez odrzucenie stwardniałej dogmatyki materjalizmu dziejowego dojdziemy do żywej koncepcji sztuki kolektywnej — Sztuki Nowej.

Dążmy ciągle ku F 24!

NOWOCZESNA DRABINA MYŚLI (fragmenty).

I. NIEMA OSOBNYCH MUSKUŁÓW SZTUKI!

To nie jest tylko plakat kolorowy, któryby nas drażnił szczególnie, to jest konieczne założenie wszelkich pragmatycznych teorji sztuki. Posłuchajmy: skoro sztuka nie posiada swojej techniki (w ścisłym znaczeniu), może ona spełniać jedynie zadanie pomocnicze, niejako ułatwiające sprawne działanie maszynerji ludzkiej. A więc umoralnianie ludzkości (jak u pozytywistów), klapy bezpieczeństwa do odprowadzania nadmiaru energji (jak u Szyllera) i t. d., i t. d.

Może sztuka mogła kiedyś na tych wysokościach żyć. Sztuka w r. 1924 poszukuje innego „usprawiedliwienia" swej egzystencji.

Jak „usprawiedliwić" sztukę głoszącą „bardziej prawdziwe od prawdy"?? (Cocteau).

Nowa sztuka odrzuca materjalizm trywjalny.

II. Przejdźmy szybko przez pobojowisko motocyklów szczególnego rodzaju, na którym pobożnie umarł Fryderyk Engels. Uchylając z szacunkiem kapelusza (przed tym, który jednak chciał wiedzieć) uchylmy na chwilę zasłony myśliciela. Fantastyczna zasłona! Skutek co chwila staje się przyczyną, a ta ucieka w pogoni za skutkiem. Historją rządzi przypadek, ale w pewnym znaczeniu tworzy ją ludzkość. Ostatniemi

sprężynami są warunki ekonomiczne, ale te znów przekształcają się w głowach jednostek. Nigdy się z tego nie wywikłamy. Fantastyczna zasłona ukrywa maskaradowe

FANTASMAGORJE POJĘĆ

Nie pokonał jej Stanisław Brzozowski, gdy odważył się na myśl szaloną. „Wszechświat jest współmierny z naszemi wzruszeniami estetycznemi".

Tam, gdzie ostateczne normatywne źródło rzeczywistości jest tak nieuchwytne, nie znajdzie i Nowa Sztuka podstaw do zbudowania swego światopoglądu. Druga forma materjalizmu dogmatycznego okazuje się równie bezpłodną, jak pierwsza była trującą,

III. Mówi Marks. Ludzkość, przebywająca dotąd swą historję nieświadomie, zdobędzie zdolność świadomego tworzenia. Sprzeczności logiczne rozwiąże praktyka historyczna. Ludzkość stanie się jednością. Jesteśmy u szczytu. Ostatnie pytanie: w jaki sposób ludzkość może tworzyć—rzucać w przyszłość i teraźniejszość — siebie samą? czem jest ta forma twórczości??

Jest twórczością artystyczną! Czystą koncepcjonalnością!! Kto tu jest artystą? Kolektywny artysta—społeczeństwo.

Obejrzmy się w tył: dostrzeżemy nieustannie wzrastające napięcie koncepcjonalności. Patrzmy naprzód —

SPOŁECZEŃSTWO — ARTYSTA KOLEKTYWNY.

Nowa Sztuka rozpocznie swą spekulację tam, gdzie się ona dotychczas kończyła. Instynkt artystyczny — bezużyteczny, gmatwający wszystkie „konsekwentne" systemy, instynkt — otrzymuje po raz pierwszy „usprawiedliwienie" rację istnienia. „Ideał etyczny" Kautskiego, „mit" Sorela były dlatego tak bezpłodne, że nie odważyły się przyjąć jako podstawy konkretnego, twórczego instynktu artystycznego.

Instynkt artystyczny — częsta koncepcjonalność — dochodzi do swego pełnego wyrazu przy maksimum jedności wszystkich elementów. Osiąga go w społeczeństwie pracującem świadomie. Do tej chwili sztuka będzie jedynie fragmentarycznie koncepcjonalną, co określamy znakiem F. Gdy F będzie pojęciem stałym, to przy zmiennym k (koncepcjonalność) otrzymujemy formułę ostateczną: Fk^2, Fk^3, Fk^4...

A REBOURS.

Mówiono: sztuka wyraża idealne piękno. Mówiono: sztuka naśladuje przyrodę. Mówiono: sztuka wyraża spoieczeństwo. Nowa Sztuka mówi: nie nie wyrażamy, nie nie naśladujemy. Tworzymy siebie samych.

Klasycyzm, romantyzm, naturalizm (i kilkadziesiąt izmów minorum gentium) rozbija się o nieprzebyty mur dualizmu: wyrażanych i wyrażających, naśladowanych i naśladujących, uogólnianych i uogólniających. Nowa sztuka jest jednością. Nowa Sztuka znosi sprzeczności.

Dowolność? Chaos? Anarchja? A rebours: to jest porządek, gdy znamy tego który jest prawodawcą!

SZTUKA LUDZKA.

Sztuka szła ku sobie samej! Przesuwamy trampoliny. Umieszczamy ją w punkcie centralnym. Artysta zdobywa prawo do swej sztuki. Zdobywa wiarę. Swubodną szeroką, niedogmatyczną platformę. Oczyszczony z balastu skrzepłych dogmatów może sięgnąć ręką po wyższą formę sztuki: czysta koncepcjonalność, której jedynvm prawem jest On sam

To jest **Sztuka Ludzka.**

! ! ! ! ! !

Zdyscyplinowana, intelektualnie mężna generacja artystów powołana jest do zrealizowania — jako istniejący typ psychiczny — nowoczesnego społeczeństwa świadomych kostruktorów życia.

Stefan Kordjan Gacki.

MOJA NIKE

STEFANA KORDJĄNA GĄCKIEGO

jest odyseja — jak milowe buty
i karnawały są halucynacji
były zwycięztwa jak czerwone huty
będziesz mi dzisiaj Nowa — Nike Pracy.

hej! proklamacje, manifestacje
wspaniale blade ogony chmur —
poco wam we dnie te iluminacje,
gdy płonie mięsem napchany wór?

96 cali nie więcej twoją młodością ocieka
odłamek cię rani stali, lata upalne goją
96 cali — z zachrypniętej krtani
zębem — nowego wydrze człowieka.

wal, bij,—na odlew—przed się—wprost—
może z posągu tryśnie struga krwi
może się uda potroić wzrost
że w niebo wejdziem jakby w drzwi.

jesteś mi ojcem, synem, bratem
jakbym za głową już twoje czuł plecy
przyjdziesz gorącym, bezwodnym latem
i twarz obmyjesz w wiecznych wodach Lety

będziemy młodzi—trzyłokciowi drwale
mosty budować i spać na mostów powale
będziemy kosić gęstą wełnę chmury
i toczyć wino z zamarzniętej góry.

MILJARD KILOWATOW ŚPIEW ADAMÓW I EW

ALEKSANDRA WATA

Oli ten miljard kilowatów + Wat.

Po morzach zieleni płynęliśmy miękko,
póki nas gonił bicz krągły — wichr,
i każdy z nas, twarz zasłaniając ręką,
powoli w pomroku ugasał jak blichtr.

I płaczące rekiny ogonami grzmocąc
unosiły się nad nami w wieniec wstęg,
gdy na pokład, czarną ulewą brocząc,
zasiadł i zagląda nam w oczy lęk.

O barwiste miraże migotliwie unoszone!
fantasmaty zdzierane jak katarakta z ócz!
— Śród burzy i wichrów jedynie wyłupione
oglądają nas oczy wyłupione tucz.

O puste w głąb pędzące powietrzne groty,
łudzące nas barwami prarajskich zórz!
znikacie, gdy śród gromu miedzi i pozłoty
bóg z niebios spada na wełnę mórz.

Lśniącemi skrzydłami przerzynając powietrze,
nad morzem latający unosił się bóg,
i cisza w krąg za nim jakgdyby po wietrze
trąbiła w skręcony i ognist- róg.

Wszystkie twory wyłaziły z elementów i z żywiołów,
z fal frunęły lewiatany i morskie psy.
I pośród lamentów mordowanych aniołów
bóg rozlewał komuś ofiarę krwi.

MOJE SERCE

OLI

Mówiłem do serca swego: o bombo serca, o czerwona bombo, która tak długo, tak długo, tak długo nie chcesz mnie rozerwać!

Przyrównywałem serce do lokomotywy pragnień, do ognistego wozu, który, jak ongi Eljasza, porwie mnie kiedyś na niebo.

Nazywałem baterją wzruszeń, doniczką miłości, młynkiem mąk, żebraczą torbą pieszczot, sygnaturką pragnień, skarbonką pocałunków, zresztą każdem imieniem każdej rzeczy na ziemi i niebie.

W chwilach emfazy przemawiałem doń: o wazo cierpień, lub: gąbko, która wysysasz cierpienia, albo inaczej jeszcze: oboro pożądań!

Aż pewnej północy poznałem jego właściwą naturę. Było to nie pamiętam którego kwietnia 1923 roku między Żórawią 26 a Marszałkowską. Spojrzawszy wówczas na serce przez oko, jak przez dziurkę od klucza

zobaczyłem:

serce moje jest kompasem, który wszędzie wskazuje na O.

PRZEMIANY

W zeszłym roku o zwykłej wieczornej godzinie siedziałem w Ziemiance z świetnym poetą Stanisławem Bruczem („Niema mglistych Londynów, Londyn jest tylko jeden“) i rozmawialiśmy, jak zwykle, o poezji, o sztuce, o naszych kolegach.

Nagle osłupiałem! Przy sąsiednim stoliku, — przy którym siedział i od którego (pamiętałem to dobrze) nie odchodził Antoni Słonimski — teraz widziałem twarz inną, niezwykłą! nie twarz — ocean cierpienia, niebo łagodności, gwiazdy mądrości, noc dobroci! Była to nieprawdopodobnie znużona, wielowiekowa wschodnia twarz żyda, której łagodność, której znużenie i dobroć bez granic oślepiały i wzruszały mnie niezmiernie.

Oszołomiony — (wszak zbyt dobrze pamiętałem jeszcze przed sekundą uśmiechającą się stamtąd miłą, dowcipną, zblagowaną twarz Słonimskiego) — nie zdając sobie sprawy z własnych ruchów, podniosłem się i wyciągnąłem doń rękę.

Uścisnął ją i, lekko skinąwszy głową, przedstawił się:

„Ahaswer, żyd wieczny tułacz“.

BOSEL, CHAPLIN, DEMPSEY, EDISON I M-elle MIMI

„Jackie Coogan zarabia stokroć więcej od prezydenta Stanów Zjednoczonych".

Niechaj bezpłodni moraliści piszą o religji, o duchu o klasach, — my wiemy, że pieniądz jest właściwem kryterjum wartościowania. Charlie Chaplin, Dempsey, biorący za występ setki tysięcy dolarów — oto są wielkie demokratyczne wartości naszych czasów. Bosel, który przed wojną był ubogim galicyjskim żydkiem, a obecnie jest austryjackim Stinnesem. Miljarder Edison. M-elle Mimi, zwykła sprytna m-elle Mimi, o której opowiadano mi, że dzięki doskonałemu opanowaniu swego rzemiosła, w parę lat wojny uciułała kilkanaście miljonów franków.

Oto są **najlepiej opłacane**, a więc **najbardziej cenione** zawody: **wynalazca, aktor filmowy, bokser, spekulant, kokota**.

(Twórczość, człowiek jako taki, człowiek w życiu publicznem, miłość. Tylko miłość w tej samej niezmiennej od wieków postaci).

Oto pięć kardynalnych cnót, esencja, pięć kontynentów obyczajowości naszych czasów, pięcioro reprezentantów, pięć szczytów, pięcioksiąg dnia dzisiejszego.

O świetny zmysłowy mój czasie! epoko filmu, spekulacji, barbarzyństwa, kokotokracji, Einsteina, futuryzmu, boksu, trustów, jazz bandu, wynalazków, renesansu pederastji!

Pewnego razu spotkali się na dancingu; tych czworo ewangelistów obyczajowości współczesnej: Bosel, Chaplin, Dempsey, Edison i M-elle Mimi (Stary Testament).

Oglądali się z wzgardliwem pobłażaniem.

ODA DO WOLNOŚCI

MIECZYSŁAWA BRAUNA

Uciska mnie łapa ciężka, jak dom,
Wrastają we mnie potworne korzenie, —
Gdzie jest, ażeby uderzył, grom
W przestrzenie, w wolne przestrzenie!...

Kiedy mi słówka zdejmują z warg,
Kleszczami ściskają, wtłaczają do skrzyń, —
Nie umiem pówstrzymać klątwy i skarg:
O zmoro straszliwa — zgiń!

Wszystko mi jedno kto depce,
Czyj but mi usta uciska.
Słońca nie będą widzieli ślepce,
Choćby ich grzało zbliska!

Wolności słodka i wściekła!
Burzo straszliwa! grzmiąca jak dzwon!
Z jakiego nieba, z jakiego piekła,
Z jakich powitam cię stron?

Kto mi twą żagiew rozniesie
Do wszystkich domów i mieszkań?
Która wiosna i która jesień,
I jaka sprowadzi cię ścieżka? — —

Niema cię w żadnych planach,
Niczyje nie spiszą cię pióra, —
Ale przyjdziesz któregoś rana,
Jak do człowieka góra.

Wtedy poznam cię mądrością
Nieruchomych drzew nad wodą, —
Wolności — tchnąca wolnością!
Wesoła, zielona swobodo!

Raju, raju stracony,
Co chwila odzyskiwany!

Wietrze, wiejący na strony,
Wietrze czerwony, pijany!

Tylko warjatom wolno dziś szaleć
Na głowach skakać,
Odwracać ster.
Nam —
    „Pluć nie wolno!“
    „Nie wolno palić“.
    „Wzbronione płakać...“
    „Gardez vous de voleurs!“

Przepisy drą nas i dławią,
Łamie nas każdy artykuł.
Lecz ten, który wykuł prawo,
Serca naszego nie wykuł!

Przez chmur, wichrów kołowroty,
Przez mrok, jaki przemoc spiętrza,
Już przebijasz swoje loty,
Wolności żywa, największa!

O upojna marsyljanko!
Karnawał nad świata kołem!
Pachnąca nie krwią, lecz rumiankiem i macierzanką.
Wolności! do ciebie wołam.

PTAKI WOJNY

MIECZYSŁAWA BRAUNA

Ponad stłoczoną miasta grudą
Gwiazdy się palą mdło i rudo,
Porozrzucane gęsto w górze,
Tak jak guziki na mundurze.
W dole, w uliczek matni krętej
Tłoczy się tłum, jak zwierz ściśnięty,
Między domami w trotuarach
Ciżba mrucząca, czarno-szara,
Miljardogłowa ośmiornica,
Mątwa pełznąca po ulicach!
A nad polami, nad lasami,
Gdy zachód w ogniach słońce łamie
I przepoławia miedź stopioną
Soczystą, tłustą i czerwoną,
Przelata stado niespokojne
Krzykliwych czarnych ptaków wojny!
Wrzeszczące armje! chmur sztandary!
Ochrypłe chóry! śmieszne pary!
Już lecą, lecą, już trzepocą,
Przyfruną, runą jeszcze nocą,
I rozkrzyczane, rozpłakane,
Rozdziobią naszą słodką ranę
Kruki i wrony, nietoperze,
Grabarze ciemni, źli żołnierze,
Zgłodniałe ptactwo, wściekłe wojsko,
Nad Europą i nad Polską!
Niezakopanych trupów armją
Dzioby otwarte swe nakarmią,
Polecą dalej złą gromadą
Na miast latarki lśniące blado,
Na skręty ulic i na place
Przerzucą ciężką swoją pracę,
Żreć będą, chrypieć, bić skrzydłami
Przed nami, przy nas i nad nami!
Okrutna zemsta! bicz karzący!
Sawanarola fruwający!...
Który śród murów chmur oparem
Grąży nas w mare tenebrarum.

SPIRALE (FRAGMENT NOWELI)

STANISŁAWA BRUCZA

Nizko na południu, w przytulnych zatokach leżące porty, są w lipcu łudząco do siebie podobne: morze zapatrzone trójkątnemi ślepiami żagli w niebo wysmarowane ultramaryną; odarte ze skóry zbocza kadłubów okrętowych, szczerzące drabinę obnażonych żeber, wzdłuż której uwijają się mali — zdaleka — półnadzy ludzie o bronzowych torsach. Zrzadka rozlegające się od stoczni, urywane stukoty jeszcze bardziej podkreślają głośne milczenie skwaru, przepojonego lepką cieczą słońca.

Wyżej — w górę — pnące się jedna na drugą wąskie, strome uliczki — głuche i pustynne leżą, niby grzejące się na słońcu koty o wypiętych grzbietach; ekrany murów, oślepiające odbitym blaskiem południa i gdzie niegdzie poziomo sterczącą, sękata, spalona ręka żebraka, zastygłego pod ścianą w ślepej i bezwładnej pozie.

Plac, namioty handlarzy tkanin, parasolka i french zabłąkanych cudzoziemców, zamarłe w rozdygotanem powietrzu chorągwie legacji i biur okrętowych — wszystko oblane gorącym miodem słońca.

Cisza jest zewnętrzna. Przez uchylone drzwi tureckich kawiarń o starannie zasłoniętych oknach, wymykają się skrawki stłumionych rumorów i toną w słonecznym spokoju dnia. Wewnątrz w pasmach błękitno-siwego dymu pływają smagłe, wąsate twarze bałkańskich południowców, wykrzykujących kursy walut: drachmy, franki, dynary... Oto jest czarna giełda — dzienne oblicze duszy powojennego miasta. Przywieziona z północy dębowa laska, stukająca o rozżarzone kamienie, odbiera wylęknione spojrzenia spłoszonych żebraków i uśmiechy wyrwanych z błogiej drzemki handlarzy tkanin. To ja wracam do oberży „Pod Krzyżem Południa". Na dole, w sali restauracyjnej, wita mnie wrażenie pustki chłodnej i wilgotnej. Złudzenie! To migocące w mroku metalowe obicie lady i marmurowe kwadraty stolików łudzą chłodem gładkich, połyskujących powierzchni... Bachus siedzący okrakiem na pękatej beczce i tyrolscy myśliwi wznoszący spienione kufle, mdleją w zaduchu zgęszczonym domieszką specyficznych waporów piwa i potraw.

Za ladą stoi Mac-Shanus. Wysoki przygarbiony irlandczyk o wilgotnych, obwisłych wąsach przeciera kufle i szklanki, badając zmrużonem okiem ich czystość pod światło.

— Mac-Shanus — powiadam — odświeża mnie wilgoć pańskich wąsów. Uprzedzam pana, że idę na górę i wylewam na siebie całą wo-

dę pańskiego hotelu. Upał można krajać nożem. Jeżeli mnie pan ciśnie o ścianę, to się do niej przylepię.

— Byli tu dwaj pańscy przyjaciele i pani — odpowiada Mac-Shanus, smętnie się uśmiechając — pytali się o pana i kazali mi powiedzieć, że uciekają na cały dzień do Kostelicy i że radzą panu zrobić to samo.

— Nie pojadę — siadam na poblizkim stoliku nawprost gospodarza i wygłaszam mniej więcej to:

Tutaj niebo jest wymalowane olejną farbą, kapiącą mi na głowę. Morze odstrasza zapachem i zielonkawym polorem roztopionego mydła. Liście cyprysów i pinji są wycięte z blachy i polakierowane. Oto niezmienna maska natury, podobna masce grzecznego uśmiechu, przysłaniającej spalone twarze ludzkie i drażniącej bezprzedmiotową zagadkowością. Tam, na północy, jest przejrzysty seledyn nieba i flotylla chmur przywiana dobrym wiatrem. Białe niewiasty brzóz z gromnicami w ręku i płaczki-wierzby nurzające włosy w bystrych, szumiących rzekach. Horyzonty porysowane zębatą linją sosnowych lasów i kredowych wzgórz, rzucających trójkąty niebieskawego cienia. Miedziane słońce zachodu obsuwa się po krawędzi dymiących łąk, mokre od kroplistej rosy... O, tam jest inaczej!...

Mac-Shanus, kryjąc uśmiech pod obwisłym wąsem, zapala cygaro.

II.

Jakże inaczej wygląda wieczór w małem portowem mieście adrjatyckiego wybrzeża. Granatowe niebo, szybko zmieniwszy gammę kolorów od zieleni poprzez fiolet i czerwień, opada nizko nawisłą płachtą czarnego aksamitu. Wynurzają się zaciśnięte pięści gwiazd i wychyla się na nieboskłonie wąsko zakrzywiony nóż księżyca. Na bulwarze nadbrzeżnym amerykańscy marynarze w jedwabnych koszulach, z rękoma tkwiącemi głęboko w kieszeniach fałdziście opadających spodni, przepasanych rzemykiem — rzucają rechoty śmiechu wślad za kaprawą, jak przejrzała śliwka, dalmatynką. Grzbiety uliczek przeciągają się i pokrywają mieniącą się łuską zbitych, falujących tłumów; są tu fezy, zawoje, kwefy, szarawary, chałaty i białe mundury marynarskie. Na zakręcie trąbi automobil poprzedzony awangardą dwóch białych snopów, tnących, jakby nożycami, sunącą taśmę ciżby. Dźwięki mandolin i gitar mieszają się gdzieś z brzękiem tłuczonego szkła. Wystrzela zygzagowato ponad poziom równego gwaru raca kobiecego śmiechu. Grecy, łyskający białością zębów pod puszystym wąsem, wynoszą z ciemnych pieczar ka wiarnianych na skrzyżowania ulic gardłowe okrzyki: drachmy, franki, dynary... Purpurowe oko kina wygarnia z ciemności kłęby tłumu i skie-

rowuje je w rozwartą czeluść bramy wejściowej. Chaplin i Nazimowa celebrują czary na plakatach gestami załamanych rąk. Na tarasie kawiarni „Hanak“ mozaika lampionów iskrzy się w dymnym płynie oranżad i ponczów. Fetysz murzyński — opasłe, brzuchate, bezgłowe bóstwo — bęben murzyńskiej orkiestry zapala swoje czerwone serce. Kino i dancing — oto nocne oblicze duszy powojennego miasta.

Świta. Na bladnącem niebie zarysowują się sztachety balkonów.

● ●

KRAJ

ANATOLA STERNA

błyszczące kobiety w przezroczystej wodzie
pryskały na się garściami, grał krzyk i plusk i śmiech
marszczyła się na brzegu rozrzucona odzież
i sina laska dymu szła w niebo z nad strzech.

gdy waląc piętami w brzuchów miedź aż dudniało
na koniach przez słońca czarny przygniecionych dysk
wpadli między mokre trzęsące się ciała,
które się zbiegły w jeden długi ostry pisk.

i wyślizgnął się popłynął dzień upalny,
ktoś wyrywał się omdlewał i od krzyku chrypł,
kołysały się białe wysmukłe brzóz palmy
i mamrotały coś złote baobaby lip.

LIST DO ANATOLA STERNA

Drogi Anatolu! Przypominam sobie ze szczególnym wzruszeniem spotkanie podczas lipcowych upałów w r. 1917, na plaży wiślanej, w południe. Uścisk dłoni i rozmowa o gimnastyce w poblizkim lesie, to był nasz „pierwszy pojedynek“. Gdy spotykamy się dziś poraz drugi na fascynującym Piazza del Popolo Nowej Sztuki przychodzi mi na myśl stoczyć improwizowany pojedynek literacki. Chcę się uporać z Twoją kilkuletnią twórczością poetycką. Mam nadzieję, że „rozćwierkane nosy“ czytelników nie przerwą nam tej szlachetnej rozrywki! Zaczynam.

* * *

Anatol Stern jest pierwszym w Polsce futurystą. Jak zawsze, jak wszędzie, zaciekawia krytyka tajemnica narodzin indywidualności. Wpływologja zawiodła mnie sromotnie. Trafiłem na wyraźny plagjat Sterna z Gumilewa i Majakowskiego, cóż kiedy książ-

żeczki obu rosyjskich poetów były drukowane o kilka lat później. Futuryzm włoski znał wtedy A. St. z kilku haseł i obiecującej nazwy. To chyba nie wystarczy do stworzenia dzieł o jednolitym, skrystalizowanym wyrazie poetyckim. A zresztą, jak wielkie są różnice! Futuryści włoscy są materjalistami — polski futurysta jest sensualistą. Ten zadziwiający przejaw wysokiej, wyrafinowanej kultury—niezmiernie w poezji rzadki — jest polskiej literaturze nieznany. Rozkwita na tle skomplikowanej, lotnej wyobraźni, ujmującej poprzez djalektykę kontrastów samo formalne ustosunkowanie wyobrażeń. Sensualizm A. St. cechuje w szczególności intelektualizm koncepcji, niesłychanie wyostrzony zmysł apercepowania dalekich kontrastów i dynamiczność wyrażająca się w rytmice i tempie następujących po sobie obrazów.

Przypomnę tu znaną strofę z „Futuryzji"

Choć łamie w kościach na niepogodę
Przecie jestem jasny, zwierzęcy i zdrów
Brzytwą podcinam leciuchną pogodę
Z bambusów, turkusów i snów

lub:

bokami tarły się o siebie tramwaje dzwoniąc
wysmukli młodzieńcy i kobiety stąpali jak sny.

Wiersz każdy odurza tropikalną atmosferą, niecierpliwą łamaną rytmiką (którą Stern włada doskonale) orgją iskrzanych, krzykliwych kolorów. Żadnego statycznego obrazu, rzeźbienia zastygłej chwili: wszystko przepływa, zasuwa się jedno za drugie, odskakuje od siebie, aby stworzyć nowy szereg dynamicznych sylwetek. Mimo dynamiki samego materjału poetyckiego, koncepcjonalne rusztowanie jest konsekwentne, logicznie przejrzyste. Każdy utwór A. St. jest rozczłonkowaną na itelektualno-sensualistyczne elementy myślą pierwiastkową. Jako typową próbę cytuję ostatnie wiersze trzech części wiersza p. t. Czerwony kościół: jestem kościół; głowa moja jest dzwon; język mój bijące na trwogę serce dzwonu.

Rzadko jednak myśl A. St. wyraża się bezpośrednim językiem metafor. To są poprostu esprycjonalne spojrzenia na pogmatwany chaos przypadków, rakietowe rzuty wyobraźni załamującej się w przedziwnej, wykoncypowanej fantastyce rzeczy. Dość odczytać szereg essayów krytycznych poety, aby się zorjentować, że chodzi tu przedewszystkiem o wewnętrzne igrzysko myśli zamknięte w skondensowanych syntezach myślowo-słownych.

Powoli czysty sensualizm skręca się w sobie napotykając zewnątrz świat, który jednak okazuje się logicznym, istniejącym niezależnie od woli — od logiki poety. Skręcenie jest bolesne. Łamana rytmika staje się niemal patologiczną, jak np. w „Karnawałach".

Poeta zmaga się z logicznością narzuconą. Usiłuje ogarnąć ją, aby pokonać. Tu przedewszystkiem charakterystyczne są „Anielski Cham" i „Skaczące Reflektory świata". Walka jest nieskończona. Wewnętrzny dynamizm poety musi skorupę świata logicznego — rozbić. Ujrzymy wtedy nowy karnawał, tryumf anarchizmu logicznego poety — który jest jego siłą, żywiołem.

* * *

Drogi Anatolu! Widzę, że w tym pojedynku Ty jesteś stroną zwycięzką. Może kiedyś, gdy miast improwizowanej szpady analizy, wykuję broń rozległej syntezy — szala się przechyli. Skończmy drugi pojedynek. Powiedz mi lepiej: co myślisz o Nowej Sztuce? co myślisz o nas wszystkich?

Dłoń ściskam

Stefan Gacki.

CZYTAJCIE!

ZIEMIA NA LEWO

BRUNO JASIEŃSKI, ANATOL STERN

NAKŁADEM „KSIĄŻKI“.

PRZEMIANY

STEFAN KORDJAN GACKI

NAKŁADEM „OGNIWA“.

Drukarnia „Krajowa“ (W. Krawczyński i E. Egert), Warszawa, Żelazna [illegible].